

Andrzej Bałdyga

Leszek Czyż

Andrzej Bałdyga urodził się 23 marca 1963 roku w Pieszycach k. Wałbrzycha; jednakże dzieciństwo i młodość spędził w Lemanie i tu skończył Szkołę Podstawową.

W latach 1978-1982 był uczniem Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Kolnie, gdzie zdał egzamin dojrzałości. Mieszkał wówczas w internacie. W roku 1982 rozpoczął studia - wychowanie obronne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Mieszkał w akademiku. Na III i IV roku studiował dodatkowo wychowanie fizyczne. Właśnie wtedy poznał swoją przyszłą żonę - Teresę. Ślub odbył się 8 lutego 1986 roku w Żabnicy koło Żywca, skąd pochodzi pani Teresa. 7 lipca tegoż roku urodził się pierwszy syn Andrzeja i Teresy - Przemysław. Jeszcze przez rok cała trójka wspólnie mieszkała w akademiku w Krakowie - do czasu kiedy Andrzej skończył studia. 7 lipca 1987 roku przenieśli się do Tuchlina gdzie rozpoczęli pracować w miejscowej szkole. Andrzej początkowo uczył historii, później: muzyki, wychowania fizycznego i przysposobienia obronnego. Od 1990 pełnił funkcję dyrektora szkoły. Kochał swój zawód. Rozliczne zainteresowania i pomysły prznosił do szkoły. Organizował mecze „uczniowie kontra nauczyciele”, apele, dyskoteki, „choinki”, wyjazdy (zwłaszcza te nad Śniardwy). Uwielbiał wycieczki z uczniami, jak i z rodziną, których celem było zwiedzanie pobliskich, a jednak nieznanych, miejscowości (jak: Popielno i Kadzidłowo). Przez rok - od stycznia 1988 roku Bałdyga służył w jednostce wojskowej w Orzyszu. 26 stycznia 1990 roku na świat przyszła córka Paulina, a 7 kwietnia 1994 roku drugi syn - Marek.

Poeta zginął śmiercią tragiczną 9 czerwca 1998 roku na swojej posiadłości

w Okartowie.

Jego marzeniem było wyremontowanie domu w Okartowie. Pragnął w życiu mieć coś tylko swojego, własne miejsce na ziemi. Kiedy go kupili budynek był w zasadzie w stanie surowym, bez podpiwniczenia. W czasie wakacji Andrzej wyjeżdżał do Niemiec na zbiory truskawek, aby zdobyć fundusze na wykończenie domu.

Andrzej miał wszechstronne zainteresowania. Grał na gitarze i na harmonijce ustnej. Próbował gry na puzonie. Wykonywał piękne rzeźby w drewnie i w korze, lepił przeróżne rzeczy z gliny, malował obrazy. Nie liczył na to, że jego teksty będą czytane. Tworzył dla siebie. W to co robił, wkładał zawsze mnóstwo energii i serca. Często obdarowywał swoich znajomych i przyjaciół stworzonymi przez siebie pracami. Jednakże cały czas za czymś tęsknił ...; może za ojcem, którego szukał niemal całe swoje życie.

(Opracowano w oparciu o pracę magisterską Rafała Bazydło: „Życie i twórczość Andrzeja Bałdygi”, UWM, Olsztyn 2006 - napisaną pod kierunkiem dr. hab. Zbigniewa Chojnowskiego.)

Andrzej Bałdyga

Leszek Czyż

Oto kilka (wybranych przeze mnie) utworów Andrzeja Bałdygi:

Kochać ...

„Kochać, to znaczy patrzeć na siebie,
Jak się patrzy na obce nam rzeczy”.
Kochać, to znaczy dać unieść się fali
Płynąć w amplitudzie jej wzlotów i upadków,
I spokój mieć w sobie; nie machać rękami,
I włosów siwych, ani zmarszczek nie robić,
I czekać do końca; a wtedy na brzegu
Położyć się cicho i popatrzeć w niebo,
I nie słuchać tego co szeptają fale,
I myśli odrzucić w jakieś gniazdo ptasie,
I oddać słońcu i ziemi swoje ciało,
I już nie nazywać nikogo oczami,
I już nic nie żądać, tylko lecieć tam,
Gdzie „Duch Boży unosił się nad wodami”.

Kraków, 23.03.1985 r.

Nie jestem swój ...r

Nie jestem swój, brak mi swojej głowy,
Brak mi swojego powietrza, swojej wody.
Nie jestem twój, jest mnie jeszcze dużo.

Andrzej Bałdyga

Jeszcze jestem całością, dziurawą bańką,
Na deszczu, snem niewyspanym, niczyją zabawką,
Siebie stróżem.
Nie jestem jesienny, nie jestem kwitnący,
Jestem jak lato letni, zimny, gorący,
Jestem skrzydłem anioła i aniołem bez skrzydła.
Jestem jak zgryziony orzech, zgryźliwy i smaczny
I jak człowieka oddech, nazywam się tylko ...
Jutro będą kwiaty kwitły, zieleń się zazieleni,
Mały koń będzie chodził za dużym koniem,
Ktoś kogoś porzuci, komuś stanie zegar,
Świat się przekręci na prawą stronę, słońce zajdzie,
I znów będzie z jednej strony ciemno, z drugiej jasno.
Kraków, 01.05.1986 r.

Jestem

Myślę, jestem, jestem, myślę,
Czując na policzku dotyk dłoni twej,
Śpij - mówi noc, wstawaj - mówi dzień,
Dusza twa zbudzona, musisz wstawać więc.
Rodzi się już ciało, już umiera sen,
I tylko twoje usta znów mnie wiodą hen.
Tam gdzie w moim ego mały domek mam.

Andrzej Bałdyga

I tylko twoje usta znów mnie wiodą tam,
Tam gdzie w moim ego mały domek łśni,
mały domek łśni.

Kółko i krzyżyk, to logiczna gra.

Ja tylko czuję, jakże więc mam grać.

Reżyserię ramion, wzrok sterylny też,

Widzę szron zimowy, w nim odbija się

Dusza jak logika; z matmy tróję mam.

I tylko twoje usta znów mnie wiodą tam ...

Kiedy noc ...

Kiedy noc się zbliża

Wracam myślą daleko,

Do tych trzcin na bagnach

I bocianów nad rzeką.

Tam rośnie w lesie stary dąb

I jastrzęb gniazdo buduje z patyków.

Kiedy noc się zbliża,

Tam uciekam od siebie,

Tam są stare marzenia,

Bóg błękitny na niebie.

Tam rośnie stary dąb

I jastrzęb gniazdo buduje z patyków.

Andrzej Bałdyga

Życie ...

Życie przebiega między szponami dwu kategorii

Dobra i zła,

Ty, mała kupka namiętności,

Chcesz w biegu chwycić swoje ja ...

Patrzą ci w serce bez emocji,

Duszę zżerają ci bez nieba

I cieszy ich zryw ku wolności,

I sznur napięty obok chleba.

Znajdź siebie w swoich ustach, bracie,

Nie daj słabościom z siebie kpić,

Ucz oczy patrzeć przez szum wiatru

I dziur powszednich piękno szyc.

I nieco prozy:

Tak bardzo cię kocham mój świecie ...

Tak bardzo cię kocham mój świecie, tak bardzo się cieszę: z każdego kwiatu którym kwitniesz, z każdego drzewa którym szumis, z każdego ptaka którym śpiewasz, tak bardzo się cieszę z twojego oddechu, który czuję, Ziemi, którym oddycham, której jestem oddechem, tak bardzo się cieszę z twej czerni, z twego błękitu, z brylistości, którą można przesypywać przez palce w słońcu na plaży, z twego powietrza i z wody, z twego ognia, żaru i siły życia. Nawet nie chcę wiedzieć tego, że jestem jednym z ograniczonych, który się cieszy, nie obejmuje, ale potrafi kochać i z tego się cieszy.

Muszę się wykrzyczeć moim piórem, moim słowem, muszę się wykrzyczeć, aby mieć spokój, muszę się wypłakać, aby jutro móc zidentyfikować swoje słowa jako prawdę i aby móc powiedzieć ją tym, którym powiedzieć się bałem, muszę pozbyć się ciężaru, który przygniata mój kręgosłup do krzesła i pochyla kark nad zeszytem. Z dalekiej podróży muszę wrócić do

Andrzej Bałdyga

siebie i umyć ręce z brudu wydobytego z siebie i nie myć, ani nie mydlić sobie oczu, abym nie widział tej złości i walki dookoła i nie myć sobie uszu, abym nie słyszał płaczu zabijanych i niewinnych, którzy nie płaczą ze świadomości umierania, lecz z bólu który jest ich udziałem i jedynym towarzyszem do końca.

Mój krzyk wraca do mnie zawsze odbity życiem po stokroć krzyczącym, a każdy wracający krzyk jest jak fala przerywająca tamę, jak kropla dopełniająca pełne naczynie – piwa, którego ktoś nawarzył przy nieoczekiwanym zrządzeniu losu, które ja muszę wypić, nie wiem po co i dlaczego? Każda chwila jest niepowtarzalna, każda chwila jest jak maleńkie ziarnko piasku w wielkiej klepsydrze czasu, wszystko jest niepowtarzalne, jedyne i na co Naturze takie bogactwo zmienności oryginalnych w każdym przebłysku czasu? Czy ktoś liczy ziarnka w klepsydrze? Czy klepsydrę się odwraca?

Chciałbym porozmawiać sobie ze Śmiercią w momencie śmierci, chciałbym się przekonać, czy można umrzeć świadomość i wolę, w co na razie nie wierzę, chciałbym się przekonać kim jestem.

Kraków, 24.11.1984 r.

Wieczór ...

Piszę do ciebie spokojnego, piszę do was zjadacze moich nerwów i piszę z nerwów do was spokojni zjadacze, i będę pisał, zanim stanę się całkowicie pokarmem dla rybek lub innych owadów, np. biedy.

I wciąż głupi strach o to, co moje poza mną, i wciąż głupi żal, że nie jestem czterema ścianami, a tylko wdychanym sublimatem.

I jeszcze widzę z zewnątrz rozdartą treść swojego ja w środku Strachu posiadania i nietrwałości uścisku rąk.

Życie mnie kołysze i coraz trudniej zawisnąć między niebem a ziemią, wejść między ogień i wodę i coraz łatwiej mi wejść między młot a kowadło.

Jeszcze patrzę na długie, cierpliwe konanie kiełkujących ziarenek nadziei; zmywam codzienność z rąk, wdycham trochę żółtej jesieni z papierosowym dymem i przykrywam kołdrą to, co moje.

Kraków, 23.10.1985 r.

Autor wpisu: **Leszek Czyż**